

Życiorys zagubiony w MSW

Z Podlesia wyprowadził się ponad dwadzieścia lat temu. Kiedy dzisiaj jedzie do rodzinnej wsi ludzie nadal mówią: syn bandyty. - Utrwalacze władzy ludowej swoje zadania wykonywali solidnie - mówi Zbigniew Szot - w Podlesiu czuje się to do dzisiaj.

Urodził się w siedzibie radomskiego UB w lutym 1949 roku. Zima była mroźna, ulice oblodzone, do Urzędu Stanu Cywilnego posłał ówczesnego strażnika Hieronima Zabiegałę, żeby zgłosił fakt urodzenia dziecka. Emerytowanego funkcjonariusza Zabiegałę odszukujemy w Jastrzębiu Zdroju. Cierpi na brak pamięci, typowy dla dawnych pracowników UB.

Zbigniew Szot przez długie lata nie miał prawdziwej metryki. Dopiero w zeszłym roku, za specjalną zgodą dyrektora Wydziału Spraw Osobowych, wydano mu pierwszy nie sfalszowany akt urodzenia, z ostrzeżeniem, że publicznie ujawniać go nie wolno. Pierwsze osiem miesięcy życia spędził pod "opieką" radomskich funkcjonariuszy UB. Kiedy matka Honorata Szota przysięgała, że już naprawdę nie wie o bandzie "Dragala", sierżant Leszek Luboń (wówczas 24-letni wiejski osiłek) chwycił małego Zbyska za nóżki i walił nim o ścianę. Kiedy chciał przyspieszyć śledztwo nakłusował nóżki dziecka poniemieckim sztyltem.

Szukamy Leszka Lubonia

Sędzia Stanisław Jankowski szef kieleckiego oddziału Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu daje odpowiedź wymijającą. Owszem, jego komisja prowadzi zbiorowe śledztwo przeciwko pracownikom aparatu UB w Kielcach i w Radomiu, ale sierżanta Lubonia nie ma na listach dawnych funkcjonariuszy. Choć w aktach sprawy Honoraty Szot z 1951 roku występuje w tej właśnie roli. Sędzia Jankowski tłumaczy, że naprawdę nie może pomóc, bo badanie zbrodni stalinowskich, to po prostu fikcja. Gdyby pan sędzia chciał zajrzeć do zasobów archiwalnych z tamtych czasów, musiałby mieć zgodę ministra Milczanowskiego, który nie ma zwyczaju wydawania takich pozwoleń.

Emerytowany funkcjonariusz Leszek Luboń żyje więc spokojnie w rodzinnym Jędrzejowie, twierdzi, że jest zupełnie innym Luboniem i nawet nie bardzo się orientuje co to było UB.

Chcieli lepszej Polski

Honoratę Szot, wówczas 23-letnią, zabrano z rodzinnego Podlesia do

o UB w Radomiu jesienią 1948 roku. Była w piątym miesiącu ciąży. Pobyt w areszcie urozmaicała jej często 48-godzinny karcerem. Czasem rzucano ją na stół i funkcjonariusze mogli ją gwałcić po kolei, który miał ochotę.

Koleżanka z więziennej celi Ludwika Wlazło, aresztowana w tej samej sprawie "za pomoc bandzie", dzisiaj powie: - Myśmy były proste wiejskie dziewczyny, przychodzili chłopcy z lasu, od "Wichra", "Rysia", "Dragala", prosili o jedzenie, o nocleg, mówili, że chcą lepszej Polski.

Wiejskie dziewczyny nie zastanawiały się czy chłopcy są z AK, z WiN-u, NSZ-u, zresztą wszyscy przychodzili w mundurach wojska polskiego, takich samych jak UB-owcy, którzy ich ścigali. Ludwika Wlazło pracowała po wojnie w szkółce leśnej w Dobieszynie. Z tamtych czasów najbardziej pamięta zielony kolor: młodych drzew i mundurów wojskowych. W czasie śledztwa w radomskim UB w 1948 r. zeznała: - Pewnie, że dawałam jedzenie chłopakom z lasu, każdemu bym dała, panu oficerowi też. Potem - pamięta - był już tylko straszny ból głowy po wyrwanych włosach i rozbita twarz.

A cóż wam się stało

Na rozprawie sędzia patrząc na pokancerowane twarze oskarżonych zapytał: "a cóż wam się stało?" Odpowiedziały, że zostały pobite w czasie śledztwa. Sędzia drwił dalej: "Przecież wiecie, że w więzieniu bić nie wolno i was nie biją, same

żeście się pobili, bo chcecie pewnie wyjść na wolność".

Ludwika Wlazło odsiedziała trzy lata. Honorata Szot po pierwszym aresztowaniu (wtedy właśnie urodził się Zbyszek) siedziała 13 miesięcy. Po drugim aresztowaniu dostała wyrok 15-letni, jej rodzice po 12 lat. W procesie, który toczył się w Radomiu na przełomie 1950/51 roku, sąd uznał rodzinę Szotów za groźnych wrogów



Fot. PAP/CAF — Sokołowski

ludowego państwa, którzy "udzielali pomocy członkom bandy terrorystyczno-rabunkowej", choć głównym ich zajęciem po wojnie było prowadzenie bufetu kolejowego na stacji w Dobieszynie.

Wyrok Honoraty Szot sąd uzasadniał: "była narzeczoną jednego z bandytów pod pseudonimem "Daszko", a nawet miała z nim dziecko".

Miłość i Judaszowe złotówki

Porucznik Roman Sobolewski "Daszko" zjawiał się w lasach radomskich po rozbiciu jego wieleńskiego oddziału AK. Tu przystąpił do grupy "Dragala" - Aleksandra Młyńskiego, żołnierza Narodowych Sił Zbrojnych, który po zlikwidowaniu przez UB kolejnych grup Brygady Świętokrzyskiej stworzył małe oddziały na terenie ówczesnego powiatu radomskiego. Oddział "Dragala", choć UB stale urządzało nań polowania, najdłużej stawiał opór władzy ludowej na Ziemi Radomskiej. Jeden z ówczesnych "utrwalaczy", szef gminnej placówki UB w Stromcu Stefan Skwarek napisał później, że "pokonanie "Dragala" w zbrojnym starciu wydawało się niemożliwe, zawsze wychodził cały i zdrow, a siły bezpieczeństwa ponosiły straty. Dopiero wprowadzenie do bandy oficerów bezpieczeństwa przyczyniło się do jej likwidacji".

Funkcjonariusze UB ze Stromca, choć działali na tak zwany "wysunięty posterunek", nie mieli wówczas jeszcze telefonu. Przychodzili na stację kolejową w Dobieszynie, wdrapywali się na słup telegraficzny i dzwonili do UB w Radomiu, przekazując informacje, wzywając posiłki wojskowe. Honorata Szot w kolejowym bufecie rozlewała piwo kufłowe, odważała płyty słoniny, kiedy funkcjonariusze schodzili ze słupa zabie-

rała płachtę, z jaką wiejskie dziewczyny chodziły do lasu po chrust i szła z wiadomością dla ludzi "Dragala". Tak zaczęła się jej miłość do porucznika "Daszki".

Na jesieni 1949 roku Honorata Szot wróciła z więzienia z małym Zbyskiem. Porucznik "Daszko" przychodził z lasu odwiedzać dziecko. W styczniu 1950 roku szedł o świcie do domu Szotów. Wiejski stróż Stanisław Miszewski (współpracował z UB) usiłował go zatrzymać. "Daszko" ciężko ranny dowłókł się do chałupy Szotów. Sąsiedzi odwieźli go do Grabowa, tam wynajęli chłopą, żeby jechał dalej, do doktora Kuciaka w Woli Wareckiej. Chłop dostarczył rannego na miejsce, wziął pieniądze, zawrócił

cych, ciężko rannych, którymi nikt się nie zajmował. Rozpoznał porucznika "Daszkę".

Ludwika Wlazło po wyjściu z więzienia wróciła do pracy w szkółce leśnej w Dobieszynie. Na świeżych grobach sadiła młode świerki. W Stromcu ludzie wiedzieli o zbiorowych mogiłach, pamiętają świeżo rozkopaną ziemię w głębi lasu. Wtedy bali się wetknąć w tę ziemię brzozy krzyż, dzisiaj nikt już nie pamięta. Mówią, że to pewnie tam, gdzie najęście jagody. Stefan Cieślak pracował w tamtym czasie w gminnym UB. Nadal mieszka w Stromcu, o grobach nie słyszał, w ogóle niczego nie pamięta, nawet faktu, że był pracownikiem UB. Tutejsza katecheta mówi: - To nadal kawał ubowca.

Honorata Szot spędziła w więzieniu ponad siedem lat. W 1955 roku Najwyższy Sąd Wojskowy złagodził jej wyrok, ze względu - jak czytamy w uzasadnieniu - "na niski poziom intelektualny".

Zbigniew Szot, zanim trafił do domu dziecka, wychowywał się w wiejskiej chałupie w Podlesiu, pod opieką swojej sześciolatniej siostry. Sąsiadki rzucały czasami przez płot kawałek chleba, parę kartofli, bały się jawnie pomagać, bo ludzie mogli donieść.

Gdy zapytać dzisiaj, dlaczego współpracowali z UB, ludzie w Podlesiu oburzają się: - Ale kto by tam współpracował, my ich wprost nie znosiliśmy. Za UB było gorzej niż za Niemca, ale po cóż nieśliśmy pomagać AK-owcom, przecież jakby władza ich nie zlikwidowała, to oni by nam ziemię z reformy odebrali.

Niesłuszne życiorysy

- Nie znam się na sprawiedliwości dziejowej - powiada Zbigniew Szot - chciałbym odnaleźć miejsce pochówku mojego ojca. Od paru lat zbieram dokumenty, odszukuję ludzi, którzy mogą coś pamiętać. Chciałbym zadać parę pytań sierżantowi Lubonowi, może odegrałbym wtedy moje smutne dzieciństwo.

Jedyne radosze chwile, jakie zapamiętał z dzieciństwa: do domu dziecka w Siennicy pod Wrocławiem przychodziła śpiewać młodziutka Violetta Villas. Tak właśnie zaczynała karierę w rodzinnym mieście. - Kiedy chorowana, zżarta więzienną gruźlicą matka zabrała mnie do Podlesia, przez długie lata tęskniłem za słodkim głosem Violetty i chlebem, którego w sierocińcu było pod dostatkiem. W Podlesiu jedliśmy tylko placki kartoflane. Matka całe życie biedowała, przez dwadzieścia lat nie mogła dostać żadnej pracy. Kiedy w końcu została woźną w miejscowej szkole, ciągle wspominała jej niesłuszny życiorys. Ja chciałem odciążyć domowy gamek, gdy tylko skończyłem osiemnaście lat, zgłosiłem się do ochotniczej pięcioletniej służby wojskowej, ale dowiedziałem się, że mój życiorys nie wskazuje na to abym chciał szczerze służyć Polsce Ludowej.

Honorata Szot nie żyje od sześciu lat. Jej więzienna koleżanka Ludwika Wlazło dawno skończyła 80 lat, cieszy się, że dostała dodatek kombatancki - 500 tysięcy. Jej rodzina niemal w komplecie oddała wyborcze głosy komunistom. Zbigniew Szot nadal cierpliwie zbiera swój potargany życiorys, skleja kolejne kawałki, pogubione w archiwach MSW. Próbował starać się o odszkodowanie za osiemnastoletni pobyt w więzieniu, za uszkodzony słuch, miałby wtedy trochę pieniędzy na poszukiwanie własnego życiorysu, ale otrzymał konkretną urzędową odpowiedź, że jego starania są bezzasadne.

LIDIA KOWALCZYK

x) Stefan Skwarek - "Na wysuniętych posterunkach. W walce o władzę ludową na Kielecczyźnie (1944-1954)", Książka i Wiedza, 1977.

Rodzinę Szotów aresztowano tego samego dnia.

12-letniego Franka, brata Honoraty, zabrano na przesłuchanie do Stromca. Tam na korytarzu zobaczył kilku jęczą-

Wyniki konkursu na reportaż

Jury w składzie: Kaja Bogomilska, Elżbieta Isakiewicz, Halina Nehring, po zapoznaniu się z 30 pracami nadesłanymi na konkurs "GP" postanowiło:

- * nie przyznawać pierwszej nagrody,
- * drugą nagrodę w wysokości 6 mln zł przyznać Lidii Kowalczyk z Warszawy (godło "Sowa"), za reportaż pt.: "Życiorys zagubiony w MSW",
- * wyróżnić specjalnymi nagrodami po 3 mln zł następujące reportaże: "24 godziny z życia kobiety" Katarzyny Molendy z Łodzi (godło "Agat") oraz "Wyjście z kopalni" Joanny Stypuły-Gliwa z Warszawy (godło "Baca").

Uznanie jury i nagrody w wysokości 1 mln zł każdy zyskały również repor-

taże: "Prowincjonalny Raskolnikow" Romana Gorzelskiego z Łodzi (godło "Karo"), "Księżobójcy są wśród nas" Zbigniewa Branacha z Torunia (godło "Wodnik"), "Kurier z małego, dumnego miasta" Piotra Opozdy z Bodzentyna (godło "Puszcza").

Wymienione reportaże zostały zakwalifikowane do druku w "GP". Gratulujemy laureatom, zachęcamy do dalszej współpracy z redakcją. Dziękujemy wszystkim uczestnikom konkursu.